

Bolesław Jabłoński

część II z V

Sygnatura notacji: **N0048**

Data urodzenia: **14.07.1937 r.**

Data nagrania: **24.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otrębusy, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 57 min, część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część VI: 48 min, część V: 86 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bolesław Andrzej Jabłoński: Proszę sobie wyobrazić listopad na Morzu Północnym, szron na butach, na relingach. Człowiek te olejarki wszystkie zrzuci mokre, pół godziny przerwy, a bosman: „Alle, alle chłopaki, wychodźta, wychodźta”. Więc dlatego, żeby jakoś było cieplej, to no hejnał, strzemienny był. Zresztą też była tam taka piękna zbieranina, bo byli chłopcy z Marwoju, tak że byli i spod Przemyśla, spod Sokółki. I był jeden Kaszub z czarnym podniebieniem. I on jak czasami sobie podpił, nie bardzo pamiętał polskich słów i mówił: „Bolek, zrób tak [niezrozumiałe]”. Żeby z chłopakami gadać. Tak że takie miałem bujne życie. I...

Artur Kłus: I ma pan tę książeczkę. – Żeglarską?

Bolesław Andrzej Jabłoński: Nie. Tę książeczkę mieszkaniową.

Artur Kłus: Tę... To pan wspominał o tej książeczce.

Bolesław Andrzej Jabłoński: A nie, nie. To trzeba było oddać jako dowód do Akademii, tam do tego departamentu socjalnego. Natomiast mam, proszę pana, książeczkę tę moją PKO, bo był przed wojną w Poznaniu taki zwyczaj, że jak się rodził chłopak, to magistrat zakładał mu książeczkę mieszkaniową, właśnie w ogóle PKO. Dawał pierwszą wpłatę, żeby to było zachętą dla rodziców, że jak chłopak podrośnie, żeby miał już pieniądze na wykup mieszkania. I tę książeczkę jeszcze mam. W 1966 roku urodził mi się pierwszy syn. Też była zabawna historia, dlatego że pierwszy syn, owszem, miał być syn i to było wszystko w porządku.

Artur Kłus: Bo jeszcze dokończę, bo pan wspominał o tej książeczce, że pan wrócił, był ten telegram, pan wrócił do Warszawy i okazało się, że mając tę książeczkę, – otrzymał pan mieszkanie, tak? –

Bolesław Andrzej Jabłoński: Tak, tak. I to mieszkanie było w nowym budynku, ale szczerze mówiąc, w opłakanym stanie technicznym. Dzięki Bogu, że ja pracowałem przedtem na budowie i wiedziałem, jakie mają być tak zwane fuchy. Między innymi fucha pierwsza. Wziąłem taki do żyrandola dynks, szarpnąłem i tam w ogóle głowę mogłem włożyć. To były ogromne takie żużlaki, żużłopostawe takie bloki. Ktoś młotem w to rąbnął i potem zaszpachlowali tylko. Tak że zrobiłem specjalne, krzyżak wewnątrz tego bloku i znajomy, bo tam jeszcze trzy małżeństwa młode, biologów, których znałem, miały mieszkania. Też mówiłem właśnie, żeby robili taką próbę. Pierwsza noc nasza z żoną to była taka, że się śmiejemy, że dziadek przyszedł i podnosi gazety, bo jak wprowadziliśmy się, nie było jeszcze mebli, to żeby nie pozanosić podłogi, to położyliśmy gazety. I spaliśmy w śpiworach. W pewnym momencie tak te gazety trochę się podnoszą. Więc ja do żony mówię: „Wiesz, dziadek przyszedł nas odwiedzić na Wszystkich Świętych”. I co się okazało? Jak kucnąłem, to pod framugą okna widać było jeżdżące Towarową samochody. I bardzo dobrze, dlatego że jak myłem potem okno, to była loggia, to mogłem wypaść zupełnie na zewnątrz. Tak że trzeba było dać na przeciw kliny takie i to wszystko robić. Ale było ogromne szczęście. Część rzeczy potem rodzice jedni, drudzy nam dawali, żebyśmy się jakoś zagospodarowali, bo nie bardzo było pieniędzy na meble. W 1966 roku urodził się syn. Byliśmy szczęśliwi. I właśnie dlaczego poszedłem do konspiracji poakowskiej? Wprawdzie muszę się cofnąć jeszcze, że mój, można powiedzieć przyjaciel, ksiądz katecheta, renesansowy umysł, znał kilka języków, znał dużo rzeczy z entomologii. Po przerwie naszej znajomości wynikającej z tego, że ja z rodzicami potem mieszkalem na Długiej, spotkaliśmy się na basenie jako płetwonurkowie. I namówił mnie, żeby pójść na Stare Miasto, 22 stycznia, na setną rocznicę powstania, bo wiedział, że... – 1963 roku. – Tak, tak. Że moi pradziadkowie brali udział. I po kądzieli, i po mieczu. Tam była zabawna historia, bo byli ludzie z ambasad, było duże ognisko i dali taką typową potrawę, kiszoną kapustę z kartoflami z ogniska. Ci z zachodu nie bardzo wiedzieli, jak się to je. I Tomasz mnie potem zaprosił do siebie, a wtedy był przy katedrze, i tak się zgadało na temat tego, co tu się w Polsce dzieje. I zaproponował, żebym pomagał księdzu prymasowi w ochronie struktur kościelnych przed napływem ubeckim. A potem się okazało, że moje wyjazdy służbowe do Sowietlandu mogą też służyć do przewożenia różnych rzeczy. I powiem szczerze, że z całego tego cyklu działalności te rzeczy według mnie chyba były najbardziej wartościowe. I jak relikwię tutaj trzymam ten obrazek Matki Bożej Częstochowskiej. Jest z podpisem księdza prymasa Wyszyńskiego. A drugą taką relikwię to mam kropidło od papieża, żebym poświęcił tę kapliczkę wyspy King George. Ale to późniejsza rzecz. Otóż były trzy rodzaje łapania najzdolniejszych alumnów. Jedna to nazwałem roboczo, że tak powiem, na kuśkę. Młody chłopak, który się wychował pod szlafrokiem babci czy mamusi, jak czasami znalazł się gdzieś na uboczu, a przychodziła młoda sprzątaczką, to to różnie bywało, a właśnie takie panie były często na usługach. Znam takie przypadki, kiedy specjalnie była baba przysyłana do księdza, który był spowiednikiem, udawała zakochaną, groziła samobójstwem i prosiła, żeby chociaż raz z nią zatańczył. Zamiast głuptas pójść do biskupa czy do proboszcza i powiedzieć, co jest, to poszedł. A tam zdjęcie. I już chłopaka trzymali. Ale były bardziej wyrafinowane rzeczy. Ten najślawniejszy nasz biblista, ksiądz Chrostowski, przecież miał kłopoty w seminarium tam w łomżyńskim i u nas, ponieważ rektor na przesłuchaniu się kiedyś załamał i współpracował, i nie chcieli go wyświęcić. Ksiądz prymas się zorientował właśnie, dlaczego i wręcz zapytał: „Chcesz być księdzem?” „Po to poszedłem” „To przyjdź do mnie, to ja cię wyświęcę”. I dzięki temu ksiądz profesor Chrostowski jest tym, kim jest. Takie były wyrafinowane rzeczy. W póź-

niejszych latach, to już w stanie wojennym, miałem taki przypadek, że w Krakowie było zamówienie na wykonanie 300 sutann. Bo jak ksiądz taki jedzie, to ludzie serce otwierają, bo to swój, a okazuje się, że gnida komunistyczna. Miałem też taki przypadek, kiedy po wyświęceniu już facet się przyznał, że poszedł do seminarium służbowo i że: „Chciałem tę sukienkę zrzucić i być normalnym człowiekiem, a towarzysz porucznik mi powiedział, że ja dopiero teraz jestem cennym pracownikiem”. I szczerze mówiąc nie znam się na teologii, ale czy to gnida komunistyczna, czy kapłan, prawda? Takie były rzeczy. To pana, nazwijmy to, działalność ta katechetyczna czy po prostu przy kościele, to była w parafii świętego Marcina? A, to potem. To potem jak ksiądz Bojasiński był u świętego Marcina, zresztą w 1982 roku zmarł po operacji na nowotwór mózgu. I one mi duże dały, dlatego, że tak, przez świętego Marcina dawałem informację, kto to jest Garstecki. Bo jego profilaktycznie też wsadzili, żeby ludzi za język pociągnąć. U świętego Marcina była usadowiona jedna z naszych pań, która zabezpieczała nam od strony, że tak powiem, adwokackiej. To późniejszy premier, Olszewski, miał nas bronić w razie jakichś wpadek na procesach. Poza tym w niektórych przypadkach stamtąd szła pomoc charytatywna. Przez świętego Marcina udało mi się przekazać informację, że rezydentka naszego wywiadu PRL-owskiego z Mediolanu przyjechała do kurii z pomocą charytatywną, żeby wejść w konspirację i tu jest błąd w książce Ramotowskiego, bo on tę niewiastę myli z jakąś tam inną, z którą nie miałem kontaktu. Oczywiście prymas Glemp zaalarmowany, panią spławił. Ona już więcej się nie pojawiała. Środowisko kościelne również potem wspomagało nas w kolportowaniu. Ba, nawet w hamowaniu takich nieprzewidzianych rzeczy, jak to, że w kościele świętej Anny powstał projekt, ażeby studenci pojechali na Jasną Górę i po mszy świętej siedli na watach z zamiarem siedzenia tak długo, dopóki nie wyrzucą z więzień wszystkich więźniów politycznych. Wtedy już ksiądz Tomasz był w szpitalu i ksiądz Dębowski był, i ja mu to przekazałem, i wstrzymali tę historię, bo wyłapaliby młodych ludzi, najbardziej wartościowych, potencjalnie wartościowych dla podziemia. Tak, ale to był już późniejszy okres, tak? 1982 rok. Natomiast te moje wyjazdy w latach 60. czy tam 70., jeśli chodzi o Sowietland czy nasze Kresy, jakieś kongresy czy do muzeów, to polegały na przekazywaniu niewielkich ilości pisma świętego czy medalików, czy po prostu jakiejś korespondencji, nie wiem jak oni, nie wnikałem, i przewożeniu stamtąd rzeczy, które interesowały. Z tamtych dawnych lat, to pamiętam wyświęcenie, chyba Ciński się nazywał. Bardzo porządny człowiek. On pochodził z ziemiańskiej rodziny spod Lwowa i był naprawdę kapłanem takim, jak pierwsi apostołowie. Jak się dowiedział, że tam jakaś babcia jest chora, to 40 kilometrów, to mówi: „A, no, to trochę podjadę jakimś gruzawikiem, trochę furką, trochę pieszo”. I dawał jej ostatnie namaszczenie. Jego ksiądz prymas konsekrował na biskupa. Wiem, że jeszcze innego. Moje spotkania się odbywały w Laskach, bo to na uboczu. Ja się tam bardzo zaprzyjaźniłem z księdzem Federowiczem. Nazywaliśmy go ojcem Tadeuszem. To był człowiek, który przed wojną mieszkał we Lwowie jako ksiądz już. W 1939 roku za zgodą biskupa zgłosił się na ochotnika na wyjazd do Kazachstanu. Komuś tam pomógł jakiś wózek popychać i w ten sposób znalazł się w transporcie. Był nad Peczą, potem był w Kazachstanie, potem wyszedł z armią Berlinga i mówił, że wyczuł bluesa, bo w lubelskim w jakimś miejscu, nie pamiętam, przechodził przez mostek i przyjeżdżał gazik z Bułganinem, a Bułganin był tak zwany politwychow. I znał naszych kapelanów, których było niedużo... I się zdziwił: „A, to wy jeszcze chodzicie?”. Myślę sobie: „To ja już niedługo pochodzę”. I schował się w jakimś klasztorze klauzurowym w lubelskim, i tam poznał ojca Kornilowicza też. I dlatego poszedł tutaj na bok do Lasek, bo to blisko Warszawy i dlatego ksiądz prymas nigdy go nie chciał wynieść na dogodności biskupa, żeby o nim sobie nie przypomnieli. Ja byłem zawsze pokorny wobec księdza Federowicza, wobec jego znajomości z dziedziny botaniki. Nawet jak napisać wspomnienia, to jego opisy przyrodnicze są zniewalające. Zresztą niewiele brakowało, by był świadkiem na moim ślubie. Ja bardzo upodobałem sobie Laski. Zresztą ten kościółek to taka pierwsza świątynia

naszych Chrześcijanin. Tam lance ułańskie tych, którzy się przebijali w 1939 roku, wiszą. I problem polegał na tym, że goście weselni pojechali autokarem. Zamiast skręcić tutaj w Marymoncie w lewo do Lasek, to pojechali prosto. Więc ten ksiądz Tomasz Bojański, który miał nam dawać ślub, mówi: „Wiesz, to damy jakieś jasełka dla dzieci”. Potem tam coś jeszcze, a już dłużej nie można było czekać. I właśnie jedna z zakonnic miała być świadkiem mojej żony, a ksiądz Fedorowicz moim świadkiem. W momencie, kiedy myśmy już wychodzili do ołtarza, drzwi się otwierają, rozpędzona teściowa przyszła wpada. A jeszcze wcześniej wspomniałem, że mój ożenek to był z przeszkodami też jeśli chodzi o ślub cywilny, który był wtedy obowiązkowy. To było na Ochocie. I takie pierwsze moje wrażenie, bo na tych ślubach cywilnych nie byłem. Jak zobaczyłem ten łańcuch tutaj, to pomyślałem sobie tak: „Goście weselni po pięć, świadkowie po dziesięć, para młodych 15 przynajmniej. I to bez zawieszenia. Ale zachowałem powagę. Jak facet zaczął mi mówić o konieczności wychowania dzieci w duchu socjalistycznym, to pękło we mnie i zacząłem się głośno śmiać. I się okazało, że nie dorosłem do tego, żeby zawrzeć związek małżeński. Żona mówi: „Bolek, nie wygłupiaj się, bo twoją żonę nie zostanę”. Ale jakoś się opanowałem i nas zaobrączkowali. Oprócz tych rzeczy, które zacząłem, wracając do księdza prymasa, to właśnie dlaczego związałem się z tym środowiskiem akowskim. Ja z tymi ludźmi miałem kontakty przy stole, przy jakichś uroczystościach rodzinnych, takich jak pułkownik Rybicki, Kwieciński, Kumand, czy Siła-Nowicki. Pan Ludwik Kon był przyjacielem rodziców i w 1945 roku przyjechał tam do nas do Przemkowa i razem z ojcem przerzucali na zachód Zarembę, któremu tutaj groziło gardło, bo komuniści go nie znosili. Chociażby za napisanie tej broszury „Powstanie Warszawskie”, które myśmy drukowali. I potem mi powiedział Lotny, czyli Kwieciński: „Ja ciebie obserwowałem przez te trzy lata”. Ale jaki był... Bo Wincenty Kwieciński to był znajomy ojca? I teściów. W ogóle jakoś się rodziny dogadały. A jeszcze... Ciągle właśnie w czasie takiej swobodnej rozmowy, to masa rzeczy ucieka. Przed ślubem powiedziałem żonie: „Słuchaj...”, przyszłej żonie, „Wiesz, że ja komuny nie kocham i trochę kombinuję. I nie chciałbym, żebyś ty została w takiej sytuacji, jak twoja mama przez dziesięć lat, że twój ojciec siedział, miała na utrzymaniu dwie córki, swoją mamę, z każdej pracy ją wyrzucali, utrzymywały się przez robienie pasztetów i też możesz być w takiej sytuacji”. I na to mi powiedziała Aśka: „Wiesz, ale mój ojciec byłby dumny, że mam takiego męża, a nie członka z partii”. I to spowodowało, żeśmy się zaobrączkowali. No i właśnie w 1966 roku już po moim doktoracie, bo żona w 1966 roku się na jesień broniła. Chrzcziliśmy syna, tego pierwszego, w katedrze, bo wtedy ksiądz Bojański był w katedrze. Rok 1966 to były te zadymy uliczne, na których milicja wwała ludziom socjalizm przy pomocy pałek po łbach, w związku z listem naszego episkopatu. Przy czym ciekawostka historyczna, o której nawet nie wiedział pan Górny, który jest od tych spraw kościelnych, otóż wywiad akowski był w dalszym ciągu znakomity. I zarówno Kwieciński, jak i Rybicki wywęcchali, że Adżubej, zięć Chruszczowa, po pijanemu... Bo on się wygadał, że najlepiej się działo w Europie, kiedy myśmy byli razem. Że Chruszczow obawia się wojny na dwa fronty, wschód-zachód, bo bał się, że mu się żółto przed oczami zrobi i chciał mieć kłajster od strony zachodniej. I chciał głaskać Niemcy. Ale Niemcy postawiły warunki. I wtedy były takie uzgodnienia. W pierwszym terminie Polska odda wszystko na zachód od Odry, NRD, żeby wzmocnić naszych towarzyszy, a w drugim etapie będzie zjednoczenie Niemiec, wyimpasowanie ciężkiej zbrojeniówki, głównie chodzi o artylerię, z Niemiec dla potrzeb rosyjskich. Oczywiście kosztem Polski. Ponieważ wtedy jeszcze kościół w Niemczech, kościół katolicki miał uznanie, w związku z tym nasz prymas postanowił tutaj, żeby na tej płaszczyźnie nie było jakiegos zaognienia, żeby przez nich można było pewne rzeczy łagodzić. I na czym polega ciekawostka historyczna? Otóż Gomułka, który przestał się wreszcie wściekać na prymasa, bo zrozumiał, o co chodzi, nadał honorowe obywatelstwo Szczecina Chruszczowowi. I wtedy jak uciął, przestali się wściekać na ten list, aczkolwiek był inny pretekst, Tysiąclecie Chrztu.

I właśnie z tym Przemkiem po chrzcie, były wtedy beciki, musiałem przez zakrystię od kanonii tam wychodzić, bo tutaj na Piwnej już był łomot, aczkolwiek był łomot staroświecki, jak to nazywałem, bo nie mieli jeszcze białych pałek, a białe pałki upoważniały ich do tego, żeby bić niewidomych. I taki wściekły wtedy zgłosiłem się, nie pamiętam, czy to był Lopek, czy Kumand, czy Kwieciński, przy jakimś tam spotkaniu rodzinnym, że dalej tak nie można i Kwieciński wiedział dla kogo ja pracuję i sam zaproponował. I to było dla mnie ogromne przeżycie, bo w mieszkaniu ciotki żony Aśki, w Alejach, słowami przysięgi akowskiej składałem przyrzeczenie, był obraz Matki Bożej Ostrobramskiej ze względu na obecność Siły-Nowickiego. Były dwie świece zapalone, był Kumand i był Kwieciński. To na mnie wywarło ogromne wrażenie, zwłaszcza, że ja z ogromnym szacunkiem się do tych ludzi odnosiłem, bo oni dla Polski poświęcili życie i mogli wiać za granicę po wojnie, ale był taki moment w naszych strukturach, kiedy zaczęło się ujawnianie i Siła-Nowacki mi zaproponował, żebym na miesiąc się gdzieś zarył, żebym zniknął, on mi załatwi przerzut do Szwecji, a ja tam na terenie Skandynawii będę optował w środowisku naukowym i polonijnym, tutaj w sprawach pomocy. Więc powiedziałem, że teraz raczej nie rozstrzelują, więc zostanę i jak potem, po skończonym spotkaniu, to i Lotny, i Lopek przyszli i mi gratulowali, i powiedzieli, że: „Słuchaj, myśmy też mogli wiać, ale przyszłość Polski tu się robi”. Dlatego że tam nie wszystko rozumieją, bo pamiętam jak wrócił zde gustowany Kwieciński w 1984 roku, uczył się na pamięć pewnych rzeczy, bo miał mieć kontakt z generałem Pełczyńskim. Chodziło o krzyż Powstania Warszawskiego. Chodziło o to, żeby rząd londyński przejął tę inicjatywę ze względu na i tradycję, i żeby wytrącić jakiś taki argument pseudo patriotyzmu, niby ze strony czerwonych. I Pełczyński powiedział: „Myśmy nie dla odznaczeń walczyli”. Lotny był bardzo tym zde gustowany. Mówi: „Już stary nie rozumie i trzeba tutaj rzeczywiście w Polsce robić to”. I na czym polegała moja ta rzecz z akowcami? Bo tylko dopowiedzmy, że Wincenty Kwieciński „Lotny” i Leopold Kumand „Lopek”, to żołnierze Kedywu, tak? – Tak, tak. – Żeby to uzupełnić. Tak, tak. To była góra Kedywu. Ostatnim dowódcą Kedywu był „Andrzej”, pseudonim, czyli pułkownik Rybicki z Milanówka. To byli ideowcy naprawdę wielkiej klasy. I w dalszym ciągu myśmy prowadzili coś, co się nazywało informacją defensywną. Mieliśmy kontakty z tak zwanym Georgem, wszystko jedno, ja nie wnikałem, jak on się nazywa. George, George i koniec. Czy to prawdziwie imię? Oficer łącznikowy ambasady amerykańskiej. Dopiero wymienili na jakiegoś takiego, nazwałem go palantem, w marcu, w 1989 roku, zarozumiiałego gościa. A ten George był bardzo fajny, on w wielu rzeczach pomagał. Przekazywaliśmy rzeczy, które były istotne. I wtedy w czasie tej współpracy, to odkryłem przez przypadek, że rysownik przyrodniczy, pan Siwek, tutaj mam tę jego osłonkę, dudka, to był więzień obozu Oświęcimia, bo on mieszkał w Oświęcimiu. Od takiego małego dzieciaka lubił rysować. Nawet matce, która była krawcową brał kredy, sobie rysował ptaszki. I był w pewnym momencie w dwuszerogu do odesłania pod jedenastkę, gdzie ludzi rozwalali. I mówił mi: „Wiesz, gęsi leciały”. I tak sobie pomyślałem: „Niech jak najdłużej lecą, żebym jeszcze w momencie, kiedy mnie trafia kula, słyszał na koniec życia gęsi”. I major niemiecki, esesman, na niego z góry basem: „Czego się gapisz?” „A patrzę na te gęsi zbożowe” „A skąd wiesz, że to zbożowe?” „Po głosie” „A co, interesujesz się ptakami?” „Tak”. I okazało się. Tym majorem SS był profesor Nitchamer, autor dwutomowego dzieła o ptakach Niemiec. Zrobił mu kilkugodzinny egzamin z ornitologii i umieścił Siwka w kancelarii. W związku z tym Siwek był przez długi czas jednym z filarów rotmistrza Pileckiego. I po wyzwoleniu obozu przez armię sowiecką, Siwka żołdacy o mało nie rozstrzelali, bo oni tam grabili pieczątki, jakieś pisma i on się temu przeciwstawił. Ale zainteresował się nim Cyrankiewicz i spowodował, że Siwek przez jakiś czas był w Oświęcimiu tam w muzeum, rysunki robił. Ale mała miejscowość, muzeum, tam mu się robiło gorąco, ktoś go tutaj do Warszawy ściągnął i Kwieciński się z nim skontaktował, nie wiem, na jakiej zasadzie oni się spotkali i zaproponował, żeby zapisał się do ZBoWiD-u. Bo tam był Cyrankiewicz, żeby mieć infor-

macje. I już teraz niedawno, kiedy powstało stowarzyszenie Prawo do Prawdy, w której znaleźli się niektórzy nasi koledzy z Grup Oporu, chodziło o liczby oświęcimskie. Ja odnalazłem karteczkę właśnie z rozmowy z Siwkiem, chyba 1976 to był rok. On prosił, żebym to zanotował. Oczywiście zaakceptował rozmowę. Bardzo się martwił tym, co się dzieje na niwie międzynarodowej. Martwił się tym dogadaniem Adenauera z Ben Gurionem, naszym kosztem i tutaj był taki właśnie łańcuszek ZBoWiD. Ja... Siwek robił ilustrację do kilku moich broszur czy do książki „Ptaki Europy”, więc to było coś naturalnego. Myśmy się nawet na obiady zapraszali z jego żoną. A ja do „Lotnego”. I jeżeli mnie nie było, to mój przyjaciel, Zbyszek Świrski z Milanówka też był w mojej pracowni i był naturalny kontakt, Siwek, Świrski. Świrski mieszkał w Milanówku. W Milanówku mieszkał również Rybicki. I tak to szło. I tutaj właśnie podziwiałem Władysława, że on się dał na ten ZBoWiD namówić. I okazało się, że ja do pięć nie dorosłem tym ludziom, bo pamiętam, jak mnie prawie objechał Lotny po doktoracie, kolega ze studiów. Była potem gnida komunistyczna. Ponieważ zrobiłem ten doktorat w miarę szybko, powiedział, że: „Takich ludzi nam potrzeba. Nie będziesz musiał mieć tego rocznego stażu partyjnego, od razu będziesz członkiem partii, po roku zostaniesz sekretarzem pierwszym, ja odejdę do Akademii i tak za mordę będziemy trzymali Instytut. Oczywiście wiesz, Bolek, coś za coś. Półroczny albo roczny stypendium w Bundesrepublik albo w Holandii”. Ja wtedy powiedziałem: „Wiesz Czarek, ja nie jestem prostytutką, która tam idzie, gdzie więcej dają”.

Artur Kłus: To była propozycja, żeby pan się zapisał do partii.

Bolesław Andrzej Jabłoński: Tak. I wtedy właśnie się zaczęło, że ja badania prowadziłem często za własne pieniądze, że mnie zmieniali i on się przyczynił do tego, że wyleciałem z Instytutu. Pies mu do grobu nasikał. I wracając do tych naszych kontaktów jeszcze akowskich. One polegały właśnie nie tylko na sprawach informacji defensywnej, ale również dzięki tym kontaktom ich, to były fantastyczne kontakty, byli świetnie zorganizowani, że mogłem przywieźć, jadąc na wyprawę antarktyczną, powielacz. Znając numery moich bagaży naukowych, które były w takich kontenerkach plastikowych, do których wkładano rzeczy jakieś kosmetyczne, które przywozili do kiosków ruchu. I moi starsi przyjaciele w Kanale Kilońskim załatwili jakąś firmę krzak, jak to nazywamy. Na dane hasło, jak przepływałem przez kanał, zgłosił się do mnie tak zwany shift handler. Handlarz. Ten okrętowy. I załadowałem powielacz, matrycę. Tam u nas było dość gęsto różnych ubiaków, zwłaszcza ludzi, którzy z wojska byli typowani, ale ponieważ były moje numery, to ja mówiłem, to jest wagi Pesola, tam jakiś inny, jako bagaż naukowy. Żeby dodać smaczku, to ten kontener popłynął na wyspę King George, potem, jak płynęliśmy Garnuszewskim, statkiem, na Półwysep Antarktyczny, opłynęli pół Antarktydy gdzieś do 90. stopnia, do Mirnego, skąd zabieraliśmy naszą ekipę z Mirnego i tam pod Mirnym mieliśmy dziurę w pokładzie. Takim Glaurelem tego, taka duża tafla lodu, a lód ten z gór lodowych ma to do siebie, że jedna dziewiąta tylko jest na powierzchni, a reszta w wodzie. Więc nic dziwnego, że była dziura. I trzeba było zrobić przechyl na drugą burtę, tam takim cementem szybkoschnącym to załatać, ale najbliższy port, żeby zobaczyć, czy ta łajba może pływać w ogóle. I poszliśmy do Adelaide. I tam właśnie z kolegą urządziliśmy wycieczkę dla załogi, obwodnicą po Adelaide, sami wynieśli w plecakach sprzęt, żywność i była konsternacja ze strony naszego politruka. Dlatego, że umówiłem się z kierowcą, że tam w pewnym momencie dam mu znać, kiedy chcę wysiąść, bo tego dnia nie było jeszcze samochodu z NK. I taki bardzo fajny był lanszafcik. Podszedł, mówi: „Wiesz, to my tutaj wysiądziemy z kolegą”. Nasz komandor Szpera głowę otworzył, myślał, że z kolegą wolność wybieram. I następnego dnia po noclegu w buszu przyjechali nasi koledzy i tym Fordem Sedanem, który nie nadawał się do podróży po bezdrożach,

bo miał tylni napęd, tak że jeden z nas czasami na masce leżał, żeby obciążyć, ale dotarliśmy do wschodnich jezior Królowej Wiktorii, potem do Pert, tam pracowali przy karczowaniu sawanny i jak wróciliśmy na wyznaczony termin do Adelaide, to komandor Szpera stał na dziobie, jak nas zobaczył, zaczął szczęśliwie machać. A to jeszcze nie wszystko. Przed następną wyprawą były tak zwane szkolenia. To z różnych dziedzin. I on zakończył szkolenie w ten sposób. O innych rzeczach nie chcę mówić, tylko wspomnę, że pan Bolek i pan Antek zorganizowali kilkusobową piękną wycieczkę po Australii i przyjechali na czas, i wrócili. Był szczęśliwy facet. Ale jeszcze trzeba sięgnąć do tych poprzednich rzeczy. Skoro mowa o Antarktydzie, to może skończmy ten wątek.

Artur Kłus: Jakby pan powiedział, skąd w ogóle pomysł Antarktydy i jak te podróże wyglądają, i ten przebieg, takie najważniejsze informacje?

Bolesław Andrzej Jabłoński: Po cumowaniu z Adelaide popłynęliśmy przez Ocean Indyjski, Kanał Sueski, Morze Śródziemne i taką okrężną drogę przebył ten powielacz. Był w takim moim pakunku, do którego nie miałem dostępu i zabawna historia jeszcze właśnie, jakie były wtedy stosunki. Musiałem celnikom przywieźć z Akademii Nauk zaświadczenie, że na Antarktydzie nie ma polskiej ambasady ani poselstwa i dlatego też nie mam zaświadczenia, że to, co ja przywożę, różne materiały przyrodnicze, to stanowi własność Akademii Nauk. Ja nawet ten paperek dałem potem w ramach zdawania mego archiwum do Mariusza Olczaka, bo to kuriozalna rzecz. Dlaczego właśnie ja znalazłem się na Antarktydzie? Bo to tak... O różnych podróżach myślałem, ale nie tam, bo to Antarktyda była za daleko. Otóż dlatego że miałem za sobą okres wspinania się, nurkowania i chodzenia po jaskiniach. Sprawę żagli, jeszcze jako pętał, kiedy była „Inka” na Saskiej Kępie, to pływałem na żaglach. Poza tym byłem chyba wytrzymały terenowo. I jeszcze to, że... To też przypadek, że szefem tych wypraw antarktycznych był Staszek Suszczewski, który był moim kolegą z roku, a ja mu pomagałem nawet w zimie robić badania chemizmu wód tatrzańskich w Tatrach. Nocowaliśmy wtedy w śniegu. I kiedyś ekolodzy pracujący w Dziekanowie jeździli naszym autokarem, a ja dostałem kopniaka w górę i byłem w łomnie szefem tej placówki terenowej, zapytał się: „A może byś pojechał? Trzeba i to, i to zrobić, bo tam nie każdy może pojechać”. I nawet miałem zamiar początkowo pojechać do stacji sowieckiej do Mirnego, ale stwierdziłem, że byłbym zielony, jeśli chodzi o przygotowanie merytoryczne, że trzeba obłożyć się piśmiennictwem, żeby wiedzieć dokładnie, o co chodzi. I to było bardzo dobre, bo tam trudno było w tym towarzystwie wytrzymać. I pojechałem do Arctowskiego. Ja tam miałem za zadanie robić inwentaryzację ptaków, zwłaszcza pingwinisk, liczenie fok, zajmowanie się tym, czym te zwłaszcza pingwiny się odżywiają. Spotkałem moich przyjaciół geologów z lat 50. jeszcze, w związku z tym mogłem tam dojść, gdzie bez asekuracji wspinających się geologów bym nie doszedł. Potrzebna była asekuracja. I chyba też im się przydałem, bo nawet jest odnotowane, że pewna facja geologiczna na Półwyspie Melville nazwana jest moim imieniem. To zupełnie przez przypadek. Otóż z moim przyjacielem Władkiem Danowskim, który pochodził z augustowskiego, którego babcia jeszcze była wychowana przez panią Orzeszkową, jak rodzina poszła w kazamaty, Władek opowiadał kiedyś, że w 1939 roku nie poszedł, a postąpił do szkoły dla mniejszości polskiej, a większość... Aha, i takich szkół dla mniejszości polskich w tym obwodzie było 16, a dla większości białoruskiej i żydowskiej była jedna prawie pusta szkoła. I opowiadał jak pani nauczycielka pierwszego dnia do nich powiedziała tak: „Dzieci, powinniście się cieszyć, że dożyłyście tak pięknych czasów, kiedy nasz Związek Radziecki graniczy z wielką Rzeszą Niemiecką. Pamiętajcie, wasza już jest skończoność”. I to właśnie tak mi utknęło w pamięci, ta skończoność, że jak się umówiłem w ten sposób, że ja robię na ścianie wa-

hadło i krzyczę „Bam!”, to znaczy, że się odbijam, że mnie Władek wypuszczał, to on krzyczał: „Bum!”. I tak to robawiło, żeśmy się nie zschynchronizowali. Ja na rumoszy wylądowałem z nosem w tych kamieniach. I patrzę, a tam kawałek belemnita. To jest taka skamieniałość z Kredy. Miniaturki żyją w kwaśnych kałużach na wiosnę, skrzypłocze. A z map brytyjskich wynikało, że to są skały andezyty, czyli wulkaniczne. Więc coś nie tak. Więc wziąłem to do ust, żeby nie wypadło i machnąłem, myśleli, jeszcze coś mi się stało. Do profesora Birkenmajera mówię: „Wymiotuję pracą naukową”. Oni zbaranieli. I co się okazało, że Angole robili mapę w zimie, i nie wiedzieli, co jest pod spodem. A widzieli właśnie wygasły wulkan. I taka drobnostka. Lodowiec przeniósł z kontynentu 100-kilkadziesiąt kilometrów. O! taki mały kawałek ziemi, gdzieś 1500 na 500 metrów szerokości. I to zostało. A ponieważ to było z półwyspu antarktycznego, gdzie właśnie była Kreda, więc tam chłopcy zaczęli ryc i piękne rzeczy zrobili, i potem dla jakoś upamiętnienia tego zdarzenia, tego mojego belemnita, nazwali właśnie zatoczkę Bolka i druga zatoka na półwyspie takim... Właściwie to niecałkowicie półwysep. Teren północno-zachodni części wyspy Króla Jerzego nazwali zatokę Jabłońskiego. Jestem w bardzo dobrym sąsiedztwie. Dlatego, że po jednej stronie jest Wybrzeże Piratów, a po drugiej Wybrzeże, po lewej, Jana Pawła II. I proszę sobie wyobrazić, to był rok 1984, kiedy ta nazwa weszła, Jana Pawła II. – Byliśmy bardzo dumni z tego powodu. – I tak chciałem powiedzieć, pana wyprawy, było ile wypraw i w jakich latach? To były trzy wyprawy, 1978 do 1981 roku. I właśnie tutaj mamy to moje takie jeszcze dziwne wejście zupełnie, jak chłopca ze wsi na pokoje, tak w krótkim czasie ja zdurniałem, jak przyjechałem do Polski. Wprawdzie mieliśmy takie z prasy informacje, że tam gdzieś jakieś okresowe przerwy w pracy, ale za to gdzieś motel otworzyli, jakieś takie rzeczy, ale... Ja się zaprzyjaźniłem z Chilijczykami. Zresztą potem to był jeden z powodów mojego wylotu. Dlaczego? Byli bardzo fajni chłopcy, tak samo jak z Argentyńczykami. Ja może wkradłem się w ich łaski zupełnie przypadkowo, bo jak byłem w Esperanzy, to jest ta baza argentyńska na półwyspie, i to była niedziela. I wiedziałem, że Latynosi mają jakieś takie małe kapliczki, nawet wielkości kiosku ruchu. I tam się modlą przed wyjściem w morze. I jednego z tych Argentyńczyków zapytałem, on mnie zaprowadził pod gmach urzędowy, to była kaplica wielkości naszego całego parteru. Może trochę większa. Pomodliłem się, wychodzę, jakiś starszy pan mi powiada: „Miło mi powitać przedstawiciela katolickiej Polski. Jestem tutaj księdzem kapelanem”. I mieliśmy wspólny język w gębie. Studiował w Rzymie, wspinał się w Dolomitach. Zresztą ja się pytam: „Słuchaj, powiadasz, że jesteś tutaj 20-kilka lat w Antarktydzie”. A on mówi: „Jestem kapłanem i tam, gdzie są ludzie, tam muszę być. A poza tym popatrz, jak tu pięknie”. Rzeczywiście Antarktyda jest piękna. I chciałem na pamiątkę mu coś dać tego naszego spotkania i dałem mu z książeczki do nabożeństwa, którą dostałem jeszcze w 1966 roku od Tomasza Basińskiego, tego księdza, kolorowy obrazek Matki Bożej Częstochowskiej. Ona ma ciemne oblicze, taka troszkę jak Metysi. A tam dużo takich ludzi było. Taka ich... Więc było zbiegowisko. I rzecz nieprawdopodobna to zupełnie jak w tej noweli Sienkiewicza „Latarenik”. Podchodzi do mnie niewiasta o karnacji takiej właśnie cyganichy i powiada: „Dzień dobry, pan”. Zbaraniałem. Akurat ja się tam bawiłem z psami pociągowymi. Co się okazało? Pradziadkowie brali udział w Powstaniu Styczniowym. Byli na „rekolekcjach wschodnio-syberyjskich” i razem z kupcami futer, rosyjskimi, przeszli po lodzie przez cieśninę Beringa do Stanów Zjednoczonych. On potem był w forcie Kalifornia, bo jakąś pracę musiał znaleźć. Kiedy wywalali tych futrzarzy rosyjskich, bo to rzeczywiście był problem, jak mówili Amerykanie, po prostu oni nie mieli zaplecza ekonomicznego i rabowali w związku z tym. To jankesi nie rozróżniali języka słowiańskiego i facet musiał opuścić Kalifornię. Znalazł się w Andach. I tam jakoś się pokrzyżowali. Ale co z Polski wywieźli? Biblię wujka. I stąd ta pani „Dzień dobry, pan”, i pewne zwroty znała polskie. I w następnym roku, jak ja byłem na Antarktydzie, to się rozeszło, że Bolo ma przywieźć naszą Madonnę, taką do Guadalupe podobną i w tak dobrej komitywie żyłem,

że kiedyś byłem 50 kilometrów od Arctowskiego, patrzę, helikopter leci, na mnie chłopaki machają. Więc ja pokazuję, że u mnie jest okej. A ten, że będzie siadał. Myślę sobie: „Jaki czort, trzęsienie ziemi”, bo już tam było takie. Podchodzę: „Bolo, komendanto kazał mi cię przywieźć”. „A co się stało?” „Będzie grande fiesta, bo mu się syn urodził”. W takiej dobrej komitywie żyliśmy. I właśnie ci Chilijczycy mieli stację bardzo blisko stacji sowieckiej, oddzielał ich potok, który Chilijczycy nazwali Rio Wołga. Stacja wybudowana jeszcze za czasów Aliende, tego komunisty. I to było na takim plato wysokim, i kiedy Amerykanie latali z kontynentu amerykańskiego na Antarktydę z żywnością, lekami, korespondencją, to przed upewnieniem się, jakie będą warunki meteo, siadali u Chilijczyków. W związku z tym Chilijczycy zaproponowali mi, żeby przez nich przechodziła nasza korespondencja dla naszych rodzin. A to już była moja najdłuższa wyprawa, 18 miesięcy. I byłoby wszystko fajnie, tylko że wyprawy antarktyczne u Latynosów są w ministerstwie obrony narodowej. To jest taka zadra jeszcze z XVII stulecia, bo tam było wszystko hiszpańskie, dopóki masoni nie porobili tych państweczek. I każde z nich nosi sobie teraz pretensje do Antarktydy, bo w myśl bulli papieskiej z XVII stulecia, wszystko, co jest na południu cieśniny Magellana, miało być hiszpańskie. Adres, który dałem przez radio, bo raz w miesiącu zdarzało nam się rozmawiać przez radio z rodzinami, aczkolwiek to był podsłuch kompletny, adres był taki: „Santiago de Chile”, w porządku. Ale potem: „Departamente de Artactico”, jeszcze też można było znieść. Ale „Ministerio Defenzo”. I tutaj w Akademii był popłoch. Przyszedł faks: „Natychmiast przerwać kontakty Bolka z faszystami chilijskimi”. Ale powstał wtedy bunt i chłopcy pokazali gest Kozakiewicza z wyjątkiem jednego faceta, ale on miał teścia, który był dowódcą wojsk łącznościowych, więc wiadomo, kim on był. Ja przez niego nie zostałem kierownikiem tej ostatniej wyprawy, bo przed wyjazdem widzę, że chłop się nie orientuje w obsługiwaniu radiostacji tej najpopularniejszej, „Mewa”, która była na statkach. A radiostacja w takich warunkach ekstremalnych to jest czasami życie i śmierć. I mówię mu, myśmy go przeżywali Szaszłyk, „Szaszłyk, kurza mogiła, to co ty w tym wojsku robisz?”. On mówi: „Ty, wiesz co, ja byłem na nasłuchach, podsłuchach, ale to też mi załatwi człowieka”. I był taki Jaś Walendowski, który mieszkał w Warszawie. Łącznościowiec z powołania. I on za tego Szaszłyka wszystko właśnie robił.